

W zgodzie z artystycznym sumieniem

Rozmowa z Janem Buchwaldem, dyrektorem kaliskiej sceny w latach 1994-1998, reżyserem „Arszeniku i starych koronek”, najnowszej premiery w Bogusławskim

Po sześciu latach powraca Pan do Kalisza jako realizator. Czy nie miał Pan ochoty przypomnieć się wcześniej naszej publiczności?

Owszem, miałem ochotę, nawet pragnienie, ale tak się składało, że dopiero pan dyrektor Czechowski zdecydował się mnie zaprosić.

Widzowie wiernie czekali. Często słyszało się głosy: „Jan Buchwald będzie reżyserował. Zobaczymy coś ciekawego”.

Nie wiem, czy nam się uda, ale bardzo się staramy. Jestem zawsze krytyczny wobec siebie, lecz jeśli pozostała po mnie pamięć, że jako reżyser i dyrektor potrafię zaproponować coś interesującego, to wypada się tylko cieszyć. To bardzo miłe.

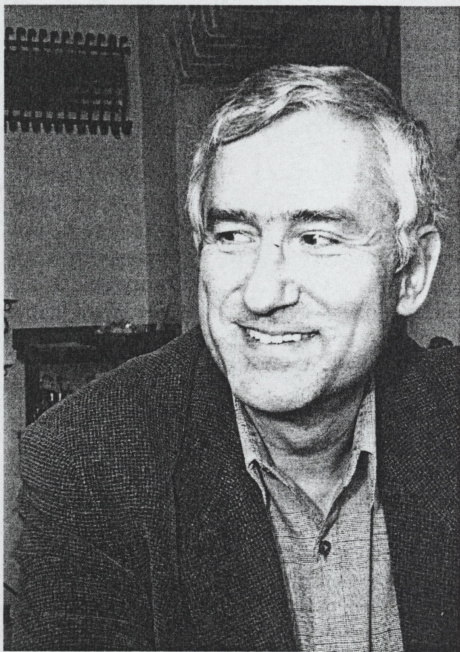
Dlaczego akurat „Arszenik i stare koronki” Josepha Kesselinga?

To wybór pana dyrektora Czechowskiego. Ja miałem na myśli raczej jakąś pozycję ze współczesnego repertuaru. Pojawiło się bowiem dużo nowych świetnych sztuk, polskich i zagranicznych. Ale po chwili wahania przyjąłem tę propozycję, decydując się na wystawienie pozycji sprzed ponad sześćdziesięciu lat.

Wróćmy do czasu Pańskiego dyrektowania w Bogusławskim. Czy może Pan powiedzieć, mając już dziś pewien dystans do tego okresu: „Powstało tu coś, co jest dla mnie ważne – nie tylko z perspektywy kaliskiej, ale również z perspektywy całego mojego dorobku twórczego”?

Reżyserią zajmuję się od 1985 roku, a więc prawie dwadzieścia lat. Ale te cztery lata w Kaliszu były najważniejsze pod każdym względem. To był pierwszy teatr, w którym dyrektowałem, choć przedtem byłem wicedyrektorem Teatru Telewizji. Kalisz był jednak zupełnie nowym i innym wyzwaniem. Dostałem do dyspozycji teatr z tradycjami, z własną publicznością, z zespołem i budżetem. Bardzo małym, niestety, co stanowiło dodatkową trudność. Ale mogłem coś robić na własną rękę. To była możliwość sprawdzenia, czy jestem dobrym organizatorem, i to zarówno pod względem planowania repertuaru, jak i zarządzania finansami publicznymi oraz kierowania pracownikami. Starałem się tę ważną dla mnie czteroletnią lekcję pilnie odrobić. Był to również okres ważny pod względem twórczym. Sam wyreżyserowałem wtedy osiem przedstawień. W sumie odbyły się dwadzieścia cztery premiery. Udało się zaprosić do współpracy kilku wybitnych reżyserów. Był to też odpowiedzialny czas kształtowania zespołu, który dał z siebie coś, na czym mi zależało.

Pojawiały się opinie, że w ostatnich latach był Pan jedynym dyrektorem, który potrafił wy-



Jan Buchwald Fot. Mariusz Hertmann

pracować najwłaściwszą wizję teatru dla Kalisza, miasta średniej wielkości, z taką publicznością.

Nie chciałbym się w żaden sposób porównywać ani z moimi poprzednikami, ani z następcami. Ale jeżeli uważa się, że ten profil repertuarowy trafił do kaliskiej publiczności, to bardzo się cieszę. Nie mnie natomiast osądzać, czy inni robią to lepiej, czy gorzej.

Była to wizja zgodna z dewizą „szlachetnego eklektyzmu repertuarowego”?

To termin autorstwa mojego nauczyciela, Zygmunta Hübnera. W tym określeniu tkwi pewien paradoks. Eklektyzm jest bowiem wymieszaniem form, gatunków, rodzajów, a to może kojarzyć się negatywnie. Przymiotnik „szlachetny” modyfikuje znaczenie tej formuły. Powoduje, że nie mówimy o słabości teatru, ale o pewnym rozważonym zamysłu. W Kaliszu jest jeden zawodowy teatr, z dużymi tradycjami, mieszczący się w pięknym budynku usytuowanym w cudownym miejscu. Musi on realizować rozmaite potrzeby kulturalne. Zaspokajając te już rozpoznane i rozbudzać nowe. Jego zadaniem jest dotarcie do widza dorosłego, ale też do dzieci i młodzieży. Nie chodzi jednak o to, aby wystawiać jedynie lektury szkolne, lecz takie pozycje z kanonu literatury dramatycznej, które mogą się wydać interesujące z punktu widzenia szeroko pojętej edukacji literackiej czy teatralnej. Kiedy obejmowałem stanowisko dyrektora kaliskiego teatru, na konferencji prasowej sformułowałem nieco prowokacyjne założenie. Powiedziałem, że nie chodzi mi o to, aby budować nad Prosną Teatr Narodowy, ale że chcę prowadzić placówkę, któ-

ra będzie świadczyła usługi kulturalne dla ludności na możliwie najwyższym poziomie artystycznym. Potem, po pierwszej premierze, a było to Ich czworo Zapolskiej, dziennikarze twierdzili, że spodziewali się czegoś większego. Ja natomiast widziałem sens w realizacji założeń pracy organicznej, której celem jest również nauczanie czegoś młodych aktorów, a tych było wtedy dużo w zespole. Tak więc zaczynałem mało efektownie, ale cieszę się, że z perspektywy czasu mój pobyt tutaj oceniany jest nienajgorzej. Czasami słyszałem głosy, że może brakowało czegoś, co wywołałoby jakiś wstrząs. Ja jednak nie jestem od wstrząsów. Nie miałem zamiaru udawać kogoś innego. To byłoby oszukiwanie publiczności. Natomiast zawsze starałem się traktować publiczność jako partnera. Nigdy z pozycji takiej, że my, twórcy, jesteśmy od niej mądrzejsi. Twórca powinien żyć w zgodzie ze swoim artystycznym sumieniem. W Warszawie, gdzie teatrów jest dużo, jest inaczej. W jednym można robić coś klasycznego, a trzy ulice dalej – powiedzmy, awangardowego.

Nie jest Pan przeciwnikiem awangardy?

Oczywiście, że nie. Cała siła teatru polega na wielości form.

Czy jednak w awangardzie nie powinny istnieć jakieś granice? Czasem reżyser bierze na warsztat dzieło klasyka, a widz czy recenzent po obejrzeniu spektaklu dochodzi do wniosku, że z tego dzieła pozostał tylko tytuł.

Wydaje mi się, że w tej chwili w ogóle nie ma awangardy w teatrze. Artystą awangardowym był na przykład Tadeusz Kantor, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Dzisiaj nie widzę, aby ktoś odkrywał rejony zupełnie nieznanne, a na tym przecież polega istota awangardy. Wszystko już było. Uważam, że nie można stawiać tamy interpretacjom. Ale z drugiej strony praca wbrew tekstowi, jeżeli jest to tekst tej siły jak Molierowski czy Szekspirowski, tworzenie przeciwko zamysłowi autora – często okazuje się porażką.

Którą ze swoich realizacji kaliskich uważa Pan za najważniejszą?

Reżyserowałem tu pierwszy raz pół roku przed rozpoczęciem mojej dyrektury. To był „Lot nad kułczym gniazdem”. Bardzo sobie cenię ten spektakl. Lubiłem też bardzo „Zagraj to jeszcze raz” Woody’ego Allena, ważna była dla mnie „Opera za trzy grosze”, ale także i „Wiśniowy sad”, którym zegnałem się z kaliszzanami.

A z tych powstałych poza Kaliszem?

Na pewno jedno z moich pierwszych przedstawień – „Niebezpieczne związki” Hamptona w Teatrze Polskim we Wrocławiu, które były zresztą

Miesięcznik
Kalisza Nowa 113/404/2004
(30.03.2004)

pokazywane i nagradzane w Kaliszu na Festiwalu. Istotne było także przedstawienie dyplomowe „Na wrócony w Jaffie” w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Z mniejszych inscenizacji bardzo lubię proste, kameralne przedstawienie „Oskar i Ruth” Villqista, zrealizowane w Starej Prochowni, które jest grane obecnie i przynosi mi bardzo dużo satysfakcji.

Co dzieje się z kondycją polskiego teatru? Pytam o to, bo z perspektywy stolicy widać więcej. Czy to prawda, że aż tak mocno się pogubił i ciągle nie potrafi odnaleźć właściwego kierunku?

Teatr rzeczywiście znalazł się w pewnym kłopotcie. Trwa to już od kilkunastu lat, może nawet dłużej. Skończyła się jakaś epoka. Dziś teatr szuka ożywienia w tym, że jest bliżej ulicy, twardej materii rzeczywistości. Z drugiej strony wydaje mi się, że tworzenie polega na wprowadzaniu elementu kreacji. Choć oczywiście nie chodzi tu o występowanie przeciwko realizmowi. Ja sam czuję się, w sensie artystycznym, realistą. W sztuce nie jest jednak tak, jak w życiu. Potrzebne jest nadanie jakiejś formy. Dzisiaj teatr próbuje form, które prowadzą go na pogranicze obserwacji reportażowej, a z drugiej strony tworzy coś, co nazwałbym kompozycją silnych emocji. Ktoś ostatnio powiedział, że minął sezon i nie ma jednej czy dwóch takich realizacji w skali kraju, o których można by powiedzieć, że były znaczące. Dawniej często tak się zdarzało. Teatr zawsze miał swój lepszy i gorszy czas. Jeśli teraz odczuwa się jakiś symptom kryzysu, myślę tu przede wszystkim o niemożności znalezienia pomysłu artystycznego, to jest to nie tylko zjawisko polskie. Poszukuję również teatr europejski. Świat się bardzo intensywnie zmienia, a scena próbuje się w tym wszystkim odnaleźć, choć czasami się gubi. Nie jest to zjawisko jednoznaczne.

Jan Buchwald jako członek Zespołu Doradców Prezydenta miasta stołecznego Warszawy. Sztuka czy polityka?

Ten zespół ma charakter czysto doradczy. Ja zajmuję się tam sprawami kultury. Czasami opiniuję pewne posunięcia czy podpowiadam rozwiązania. Nie ma to jednak nic wspólnego z polityką. To zajęcie czysto merytoryczne.

Czy czuje się Pan spełniony jako artysta?

Nigdy nie byłem zadowolony do końca z tego, co stworzyłem, a więc nie czuję się też do końca spełniony. Uważam, że najciekawsze dopiero przede mną. Spełnienie oznacza chyba emeryturę.

Życzę więc, aby jak najdłużej czuł się Pan artystą nie do końca spełnionym.

Rozmawiał Wojciech May

Śmiech jest jednym ze sposobów „oswajania” nieszczęścia, działa oczyszczająco. Dlatego dobrze, że pomimo ogłoszonej w kraju żałoby, dwa dni po madryckiej tragedii, w naszym teatrze doszło do kolejnej premiery, choć rozważano możliwość odwołania spektaklu. Najpierw była minuta ciszy, którą uczczono ofiary, potem przednia zabawa. Życie samo zbudowało taki kontrast.

Umiejętnie dozowany arszenik

Popisy tancerzy Teatru Tańca Alter otwierające spektakl oraz dźwięki Chattanooga choo choo Orkiestry Glenna Millera pozwoliły zapomnieć o okrutnym theatrum mundi, w którym Bóg wie, kto reżyseruje, i przenieść się w brodwayowski świat lat czterdziestych. A potem do domu uroczych panien Brewster (Krystyna Horodyńska i Bożena Remelska). Sympatyczne staruszki mają, w swoim przekonaniu, dość szczególną misję do wypełnienia. Pomagają samotnym mężczyznom, bo samotność to przecież okropne uczucie. Wynajmują im pokoje, a potem częstują winem porzeczkowym. Łyzeczka arszeniku, pół łyżeczki strychniny i szczypta cyjanku potasu nadają trunkowi specjalne właściwości. Jak pozbyć się trupów? Sprawa jest prosta. Potrzeba odpowiednio pojemnej piwnicy, a bratanek Teddy (Adam Szymański), któremu wydaje się, że jest Napoleonem Bonaparte, sam już zadba o to, aby pogrzebać swych dzielnych wiarusów poległych w czasie przeprawy przez Berezynę. Bratanków siostry Brewster mają jeszcze dwóch. Jonatan (Lech Wierzbowski) to czarna owca w rodzinie. Właśnie uciekł z zakładu dla psychopatycznych morderców. On nie ma żadnej misji do spełnienia. Lubi zabijać dla przyjemności. Lubi też operacje plastyczne. Po ostatniej do złudzenia przypomina Adolfa Hitlera. Mortimer jest w zasadzie nieszkodliwy, choć ma jedną drobną skazę – zawodowo zajmuje się recenzowaniem spektakli teatralnych.

„Arszeniku i starych koronek” Josepha Kesselinga reklamować nie trzeba. Ta klasyczna czarna komedia dobrze znana jest publiczności. Choćaby dzięki słynnej już inscenizacji Macieja Englerta wyreżyserowanej dla Teatru Telewizji w 1975 roku, czy też z nakręconego w latach czterdziestych filmu Franka Capry.

Jeżeli ma się odpowiednią wizję przedstawienia i umiejętnie pokieruje aktorami to sukcesu murowany. Janowi Buchwaldowi z pewnością się to w Bogusławskim udało. Reżyser potraktował partyturę tekstu w sposób klasyczny, co w przypadku takich utworów wydaje się być rozwiązaniem najtrafniejszym. Buchwald potrafił wydobyc z naszych aktorów to, co przez

ostatnie lata tkwiło jakby w uśpieniu. Grający na równym, dobrym artystycznym poziomie zespół stanowił tło dla indywidualnych kreacji, choćby Krystyny Horodyńskiej, Bożeny Remelskiej czy Lecha Wierzbowskiego. Komizm i szczypta psychologii, również obecna w sztuce Kesselinga, zostały odmierzone w odpowiednich proporcjach, bez niepotrzebnych przerysowań. To tak jak z arszenikiem, który dozowany w małych dawkach bywa lekarstwem, przedawkowany – zabija.

Po zakończeniu spektaklu zerwała się burza oklasków, a kiedy na scenie pojawił się reżyser, publiczność poderwała się z miejsc. W naszym teatrze nauczyliśmy się odróżniać klaskę od owacji. To na pewno była owacja, wyrażająca nie tylko uznanie dla pracy realizatorów, ale także podkreślająca, że widzowie nie zapomnieli Jana Buchwalda jako dyrektora, który w latach 1994 - 1998 zrobił dużo dobrego dla kaliskiej sceny.

Całość dopełniała dopracowana w najdrobniejszych szczegółach scenografia Wojciecha Stefaniaka. Ona także pięknie zagrała w tym przedstawieniu, budując jego klimat. Na uwagę zasługuje też oryginalny program zaprojektowany przez Pawła Jarodzkiego, w którym, oprócz komiksu, znalazł się mini plakacik utrzymany w stylistyce lat czterdziestych, reklamujący tancerzy Alteru.

Wojciech May

Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu, Joseph Kesseling: „Arszenik i stare koronki”, tłumaczenie – Antoni Marianowicz, Janusz Mickiewicz i Andrzej Konarek, reżyseria – Jan Buchwald, scenografia – Wojciech Stefaniak. Premiera 13 marca 2004 roku.



Karol Kręć jako Mortimer Brewster, Agnieszka Kubies - Helena, Fot. Arek Szymański